

Janusz Gołda  
**LM**

Janusz Gołda



wiersze wybrane

Redakcja:  
Karolina Borkowska

Projekt okładki:  
Sławomir Wójcik

Wydanie I, Lesko 2017 r.

© Copyright by Janusz Gołda

ISBN 978-83-932902-1-5

Druk i oprawa  
Sowa Sp. z o.o.  
ul. Raszyńska 13  
05-500 Piaseczno

## Chwila

Mówiliśmy: chwilo, trwaj. I trwała.  
Potem któreś z nas widziało ją w...  
A potem znikła. Szukaliśmy jej  
od piwnicy po strych, w komodach,  
szafkach, najciemniejszych kątach.

Na półkach z dziełami znanych autorów,  
w tomikach poezji, opracowaniach  
filozoficznych. Przewertowaliśmy  
stosy gazet i pism. Przetrzęsaliśmy  
wnęki, walizki, teczki, skoroszyty.

Pewnie zrażona naszą obojętnością  
poszła do ogrodu, żeby rozmyślać  
w samotności o naszych relacjach  
i związkach. Spaceruje, wzdycha,  
siada na ławce, patrzy w niebo.

Wołaliśmy ją drżącym głosem.  
Biliśmy się w piersi obiecując jej  
złote góry i poprawę. Przysięgliśmy  
na wszystko co święte, że tylko my  
i ona, i nikt więcej. Nie przyszła.

## Rzeka

Renee na fotografii Lartique'a.  
Jej imię, nazwisko artysty i rok 1931  
zapisano na ramce czarnym atramentem.

Pół siedzi, pół leży na kanapie  
z wzorzystą kapą. Ciemna suknia,  
jasny beret, uczesane gładko włosy.

Twarz anioła, który zstąpił na ziemię  
i wszedł między ludzi ubrany  
zgodnie z panującą modą.

Duże ciemne oczy patrzą na nas  
z drugiego brzegu. Witaj roku 1931!  
Witaj Renee! Spojrzenie lekko przymglone,

niepewne. Między nami otchłań - rzeka  
Heraklita. Patrzy stamtąd. My, stąd.  
Renee w wieczności, my czekający.

## Zegar słoneczny

Tort orzechowy, konfitury i herbata  
z kropelką rumu w mrocznym saloniku.  
Twarze pań skupione, spojrzenia poważne.  
Koronki, tiule, gipiury, falbanki, kwiaty  
przy kapeluszach. Na oparciach krzeseł  
wiszą złożone parasolki.

Wśród pań chłopiec w mundurku uczniowskim.  
Wysoki kołnierzyk zapięty na haftki,  
w dłoni czapka z daszkiem i literą G  
oraz cyfrą gimnazjum. Na patkach stójki  
srebrny pasek - oznaka ucznia pierwszej klasy.  
Na palcach centki atramentu, na policzkach  
rumieńce - ślady niedawnego egzaminu:  
*„Winszuję syna, wyniki bardzo dobre”.*

Zerka w stronę otwartego okna  
w którym widać skrawek nieba i drzewo.  
Chciałby na podwórko. Zabawki pod ręką,  
wystarczy tylko schylić się - łopatki,  
grabki, wiaderka, polewaczka, wóz  
strażacki, w altance siatka na motyle,  
pod siatką puszka blaszana do trzymania  
złowionej zdobyczy i konik na biegunach.

Rzeczy porzucone, światy zapomniane.

## **Nagła ciekawość spraw zaczętych**

Na wprost drzwi wejściowych toaletka  
z owalnym lustrem w którym widać  
fragment ściany, secesyjne łóżko  
z rzuconą niedbale białą suknią.

Na środku saloniku okrągły stół  
z włoskiego orzecha. Na stoliku taca  
z ciastem francuskim, ciemna butelka  
i dwie szklanki; jedna pusta,  
druga opróżniona w połowie  
- obie ze śladami szminki.

Przy stoliku dwa gięte krzesła.  
Jedno stojące ukosem, jakby umyślnie  
tak ustawione lub potrącone w biegu.  
Na drugim kapelusz z woalką  
rzucony na oparcie w pośpiechu,  
podobnie jak suknia, tą samą ręką.

## Kobieta przy oknie

Drobna, w kapeluszu z cienkiej słomki;  
jasna karnacja, na policzkach piegi,  
oczy jak dwa skrawki błękitnego nieba.  
Jeszcze nieubrana, w trakcie strojenia się  
lub przebierania, bowiem jest w gorsecie  
i w krótkich pantalonach. Być może  
wróciła właśnie z porannej przechadzki,  
co potwierdzałby kapelusz na głowie.

Stoi przy oknie uniesiona nieznacznie  
na palcach. Prawą dłoń trzyma firankę  
- przed chwilą zerkała dyskretnie przez okno,  
teraz zwrócona do niego barkiem czujna,  
trochę niespokojna, z głową skręconą  
w bok zdaje wsłuchiwać się w odgłosy  
z zewnątrz, które przyciągnęły ją do okna.  
Jakie? Trzeba by zgadywać. Na pewno  
intrygujące, bowiem nieporządek  
panujący w sypialni - zmięta matynka  
na sofie, rzucone pod sofę pantofle  
i nieposłane łóżko świadczą o popłochu  
w jaki wpadła, albo o wielkiej ciekawości  
którą chciała czym prędzej zaspokoić.



## Fanny

Miał fabrykę sukna, posiadłość ziemską  
i pięćdziesiąt dwa lata, gdy ją poślubił  
- ona szesnaście. Traktował ją jak córkę,  
spełniał wszystkie jej kaprysy i zachcianki.  
Ona uważała go za przyjaciela  
i ojca; nie widziała w nim mężczyzny.

W letnie dni leżała nieomal naga  
w tunice z złocistego muślinu  
na terasie z piaskowca chłonąc  
jego miłe ciepło, przeciągała się  
jak kotka i spod zmrużonych powiek  
śledziła chłopców, którzy przechodzili  
obok nie śmiać podnieść na nią wzroku.

Miała kilka przelotnych romansów  
i miłostek, do których odnosił się  
pobłaźliwie mówiąc kpiącym tonem:  
*Moja Fanny znowu się zadurzyła.*

Jego wątle zdrowie nadwerężyły  
nieudane spekulacje, wzrost cen wełny  
i upadek fabryki. Przed wybuchem wojny  
kupił rosyjskie obligacje stając się  
bankrutem a kiedy komisja poborowa  
uznała go zdolnym do służby wojskowej  
i wysłała do armii, doznał ataku serca.

## Coda

Zdjęcie z naddartym rogiem, przełamane  
w połowie, drobne plamki, zadrapania,  
na dole napis spłowiałym atramentem:  
*Truskawiec, sierpień 1913.*

Na zdjęciu panienki w sukienkach z koronki  
grają w krykieta. Wśród panien młodzieńcy  
w pulowerach i pumpach. *Ach, maman!*  
*nie można im ufać*, lecz jakże miłe są  
ich umizgi i komplementy.

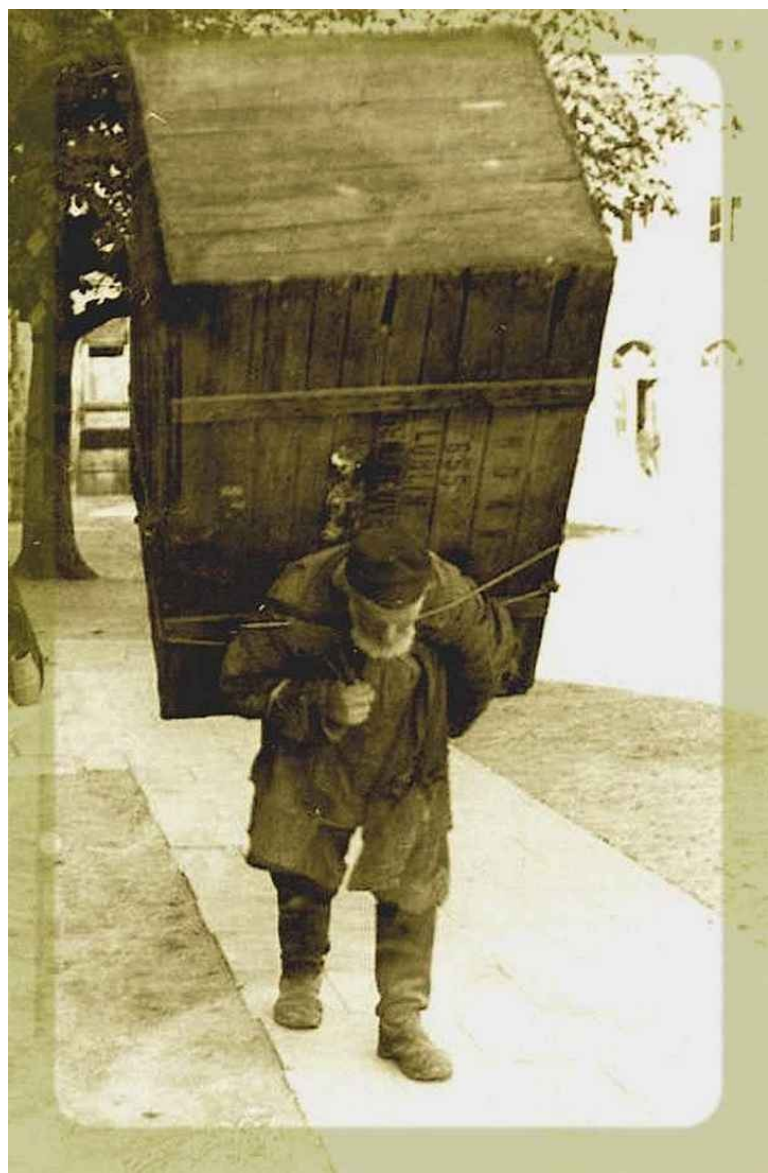
Panowie w garniturach z białego płótna.  
Panie w kostiumach z białej piki, kapelusze  
z woalką, przeciwsłoneczne parasolki.  
Rej wodzi Żaneta - muślinowa suknia  
w groszki, kapelusz „pasterka” - trzpiotka,  
oczko w głowie rodziny; dzisiaj kończy  
dwadzieścia trzy lata, drugi krzyżyk  
uważany powszechnie za kres młodości.

W grudniu wyjdzie za mąż. W kwietniu  
umrze na galopkę. W listopadzie jej mąż, Jakub  
- nie ma go na zdjęciu - zginie na froncie włoskim.  
Lecz to ma się wydarzyć i jest jeszcze daleko.  
Na razie chłopcy w marynarskich mundurkach  
bawią się w Rinalda Rinaldini, a przed altanką  
dziewczynka z mysimi warkoczykami  
pije przez słomkę lemoniadę.

## **Nagła ciekawość spraw zakończonych**

Fotografia w metalowej ramce  
z naklejonymi muszelkami małży.  
Szkło osmużone burym kurzem.  
Za szkłem łagodny owal twarzy,  
w tle strusie pióra. Stryjenka Bietka,  
tancerka Varietes, krewna ciotki  
Andy ze strony jej męża, asesora  
w miasteczku L. - obiekt westchnień  
studentów miejscowego gimnazjum -  
wsparta na łokciu, z dłonią przy skroni.

Palce, wskazujący i serdeczny,  
poplamione atramentem.  
Pisała zaproszenia na ślub,  
który nie dojdzie do skutku  
- za miesiąc jej narzeczony  
umrze na udar mózgu.



## Skrzynia

Co jest w tej skrzyni, Mosze Baum?  
Czemu cię zgina w pół i nie pozwala  
być prostym jak świeca, żebyś mógł  
patrzeć innym w oczy? Czy taki Żyd  
może dzięki niej być purycem?

Kto ją tobie dał? Czyżby przyplłynęła  
zza wielkiej wody jako dar sytego,  
który nie zaznał nigdy głodu, lecz wie  
co to głód, bo czytał o nim w gazetach.  
A może daleki krewny, którego Bóg  
nagrodził chałką słodkiego szczęścia,  
daje teraz słodki okruszek tobie,  
bo wie, że szczęśliwy jest tylko ten,  
kto szczęściem dzieli się z innym.

Kto stworzył ten garb? Może żądałeś  
od Boga zbyt wiele? - posagi dla córek,  
majątnych zięci, zdrowie dla żony, siły  
końskiej dla siebie, buty dla synów,  
ubranie i dla każdego pełny brzuch?

Może ty Rothschild albo Rockefeller  
i w skrzyni zgromadziłeś majątek  
tych, którzy razem mają cały świat  
choć pojedynczo nie mają nic. A może,  
czego jeszcze nie wie nikt, jest w niej  
schowane największe nieszczęście,  
które ze skrzyni dopiero ma wyjść  
a kiedy wyjdzie, nazwą je, *Zagłada*.

## Hagada

Wiem, czemu tańczy Sulamit.  
Wirują wstążki, kokardki,  
rąbki, falbanki makowej  
sukienki, mysie ogonki.

Wiem, dlaczego tańczy Jome.  
Frunie na skrzydłach chałata  
ognista głowa, rude pejsy,  
źrenice dwie ulęgalki.

Wiem, czemu szłocha mameł  
a tate rwie siwą brodę  
- tańczący idą do nieba.

## Ludzie na peronie

Piotr i Karol żegnani przez najbliższych na peronie stacji kolejowej kilka chwil przed odjazdem pociągu, którym udają się do Serbii z rozkazu Najjaśniejszego Pana.

Piotr - jager baonu pospolitego ruszenia. Ochoтник, żadnych doświadczeń bojowych. Dwadzieścia jeden lat, czupryna blond, oczy błękitne. Duch radosny i niesforny. Ciekawy świata i ludzi. Początkujący poeta - kilkanaście sonetów w dorobku. Niepoprawny optymista czerpiący życie garściami. „*Zobaczysz, skończysz jako kloszard*” - karciała go babka, gdy rano wracał z nocnych eskapad.

Karol - feldfelbel strzelców górskich. Cztery lata służby garnizonowej z corocznymi ćwiczeniami jesienią. Jego pułk stacjonował na Węgrzech. Wysoki, postawny. Podoba się kobietom. Brunet. Krucze włosy, zabójcze wąsiki. „*Jak tylko to się skończy*” - powie poważnie do żegnającej go matki - „*będzie synowa i pół tuzina wnuków.*” Mundur polowy, czapka z szarotką, zielone patki na wyłogach. Na ramieniu Mauser 98. Twarz pogodna. Żadnego smutku, żadnych wątpliwości. Postawa godna oficera armii austriackiej średniej rangi.

Piotra po miesięcznym szkoleniu  
na Morawach wysła do Szumadii.  
Jego kompanię rozbiją Serbowie  
w czasie przeprawy przez Kolubareę.  
Karola rzucą w Alpy Julijskie.  
Jego pluton stoczy zażarte boje  
z Włochami w rejonie Kabaridu.  
Zginą w sobotę. Piotr trafiony kulą  
snajpera, Karol seria z kulomiotu.

Dla żegnających los będzie łaskawszy.



## Mink

Nic do niego nie miał. Palec spoczywał  
na spuście Hadley`a kaliber dziesięć.  
Huk, dym i ciało spadające z konia.

Tyle zapamiętał, lecz przysięgli  
chcieli poznać motyw, który nim kierował.  
*W strzelbie był śrut na perliczki, reszta  
to czarna dziura, otchłań - mówił.*

Dopiero, gdy przypomnieli mu dąb  
z uciętym wierzchołkiem, pusty w środku,  
wysoki na dwadzieścia stóp i konar,  
a raczej sęk i bawełniany sznur,  
którego użył do wciągnięcia zwłok  
na górę i spuszczenia ich w dół.  
Dopiero wtedy. Nie wcześniej.

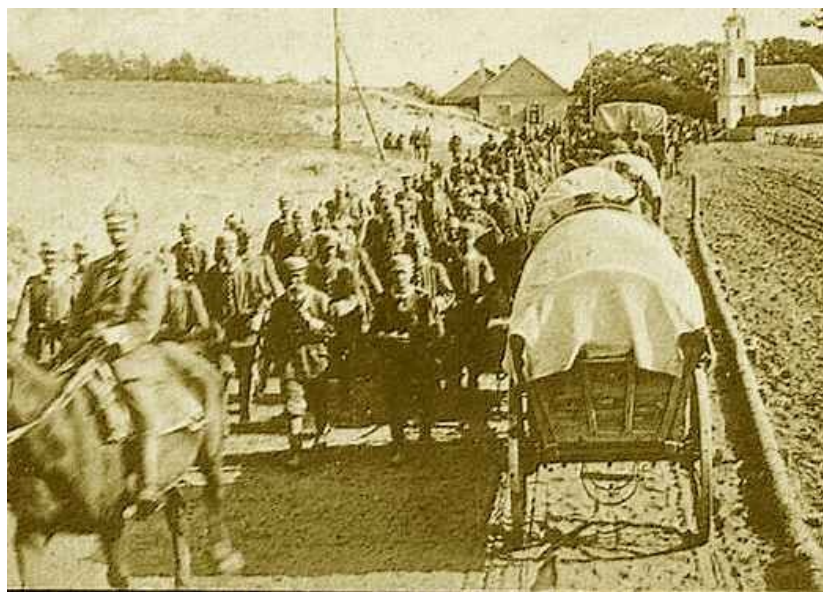
A może, kiedy pierwszy raz pomyślał,  
żeby ściąć drzewo, wyciągnąć ciało  
i wrzucić je do rzeki. Albo, gdy pies  
warujący pod dębem skoczył mu do gardła  
a on uderzył go w łeb obuchem toporka.

Nie! To był strach taki sam jak wtedy,  
gdy jego palec spoczywał na spuście,  
kiedy pierwszy raz zobaczył drzewo  
spróchniałe w środku i potem, gdy wciągał  
na niego zwłoki i spuszczał je w dół.

Dopiero później, gdy ściął drzewo,

zgarnął próchno z trupa i ciągnął ciało  
do rzeki a ono rozpadało się  
na kawałki i gdy pies korzystając  
z okazji porwał ramię i uciekł w las,  
ogarnęła go taka furia, że zabiłby.

Sza! Nie opowiadaj takich historii.



## Pani na rozstajach

Pochylona. Klęcząca. Twarz ukryta  
w dłoniach. Między palcami łyzy  
lipowe. Lipowe plecy, lipowe kolana,  
lipowe łyzy, lipowe dłonie.

Nad jej głową daszek z gontów  
na postumencie z piaskowca  
- osłona przed deszczem i słońcem;  
żadnej ochrony przed wiatrem. Widok  
daleki, dookolny, niczym niezmacony.

Za nią lipa trafiona pociskiem  
armatnim, zakole rzeki zastygłe  
w bezruchu i obłe pagórki obsiane  
miedzami. Przed nią skrzyżowanie  
bitego traktu z wiejską drogą -  
pustą, pokrytą kałużami, błotem,  
ślądami chłopskich furmanek.

Traktem ciągną tabory wojskowe  
- działa, jaszczce, taczanki, wozy kryte  
brezentem, kuchnie polowe, kawaleria,  
piechota. Skąd, dokąd? Stąd, tam. Z lewej  
na prawą. Z prawej na lewą. Zza horyzontu  
za horyzont. Zadanie okryte tajemnicą.  
Próżno pytać. Wzrok piechurów wbity  
w ziemię, taborytów w mgliste niebo.

Cel: dotrzeć tam i stamtąd wrócić.



## Pozdrav z Mirosova

Kobiety w rozkwicie. Wszystkie młode.  
Nieliczne dobiegają trzydziestki.  
Stoją w trzech rzędach. Suknie białe,  
do pół łydki albo tuż za kolano  
- zwiewne, prawie przezroczyste  
okrywają powabne kształty.  
W dłoniach torebki na drobiazgi,  
kosmetyczki, ślubne wiązanki.  
Uczesanie a`la kobieta wyzwolona  
- włosy ścięte na pazia, chłopczyca  
z grzywką opadającą na oczy,  
z kosmykiem sięgającym policzka,  
spięte ażurową broszą, z wetkniętą  
za ucho zalotnie żywą różą.  
Tu i ówdzie tradycyjne fale,  
loki, warkocze i ondulacje.

Na krześle panna młoda w welonie.  
Przy niej druhny. Dwie w żałobie  
- młode wdowy, które inaczej ubrać się  
nie chciały, lub nie mogły. Z twarzy  
gości łatwo odczytać, że odmienność  
tą nie uznali za niestosowną.

Wśród kobiet kilkunastu mężczyzn.  
Pan młody tuż za panną młodą.  
Pozostali rozsiani po całym orszaku  
- rodzynki w cieście, czarne gwiazdy  
na białym niebie. Wiek średni i podeszły  
- ojcowie rodzin, wujowie, kuzyni,

bliżsi i dalsi krewni, sąsiedzi  
których nie można było nie zaprosić.

Cały orszak na tle otynkowanej ściany  
sporego zajazdu. Cztery wielkie okna  
i szerokie nietypowe drzwi - goście wyszli  
na zewnątrz żeby po zrobieniu zdjęć wrócić  
do środka. Nad drzwiami szyld: **u Nadrazi**,  
przy oknie mniejszy reklamujący piwo:  
„*Kralupsky ležak*”. W prawym dolnym rogu  
dopisano zielonym atramentem:  
*Pozdrav z Mirosova, restaurace „u Nadrazi”,  
svadba Jany, leto 1919*<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> pozdrowienie z Miroszowa, restauracja „u Nadraži” (przy stacji),  
wesele Joanny, lato 1919

## Niedzielne popołudnie

Mężczyzna i kobieta. Bardzo podobni.  
Świetnie upozowani. Razem i oddzielnie.  
Wspólnie i osobno. Może tak ustawieni,  
bowiem z kompozycji zdjęcia domyślić się  
nietrudno, że fotograf jest mistrzem kolażu.

On stateczny, ona podłotek – ojciec  
z córką, brat z siostrą, wuj z bratanicą,  
mąż z żoną. Nad głowami poświata  
w kształcie aureoli. Dłonie blisko siebie  
lecz niesplecione. Jego w rękawiczkach  
skórkowych, jej w mitenkach nicianych.  
Coś ich powstrzymuje – wychowanie,  
surowe zasady, etykieta, miejsce  
w którym są, scenariusz fotografa.

Za nimi kotara udrapowana  
tak zmyślnie, że malowany na niej pejzaż  
sprawia wrażenie prawdziwego parku  
z niewielkim stawem, po którym pływają  
łódki zakochanych. Oni bez wioseł.  
Nic nie szkodzi. Jego szykowny smoking,  
czarne błyszczące sztyblety, jej długa  
do ziemi kosztowna suknia i kapelusz  
z bukiecikiem sztucznych fiołków  
nie pasują do widoku na płótnie,  
lecz wpisują się w jego nastrój  
- pierwszy wspólny spacer nowożeńców  
w sierpniowe niedzielne popołudnie  
po niedawno gracowanej alejce.





## Stawiski, 1920

### „*Stawiski – Kolno, Cwałm Hłdesz*”.

Litery na drzwiach dylizansu wyraźne,  
dobrze widoczne z dużych odległości.  
Kto chce, odczyta. Kto nie potrafi  
lub leniwy, może zapytać.

Napis odręczny, nierówny, koślawy.  
Nieważne. Ważne, skąd i dokąd. Ważne,  
kto. Ważne, że firma „*Cwałm Hłdesz*”  
gwarantuje wygodną podróż,  
niski koszt i bezpieczny przejazd.

Trasa o pierwszorzędym znaczeniu:  
Stawiski - Kolno przez Chmielewo -  
Wścieklice - Gromadzyn albo Poryte -  
Borkowo. Komu śpieszno, może pojechać  
na skróty przez Zaskrodzie lub Budziszki.  
„*Cwałm Hłdesz*” zrealizuje każde zamówienie.  
Koszt przejazdu uzależniony od liczby  
pasażerów oraz uzgodnień osobistych.

Jest wczesne popołudnie. Upał zelżał.  
Cwałm Hłdesz przyjechał z Kolna. Dylizans  
zajechał na rynek w Stawiskach na popas.  
Koń je obrok - łeb zwieszony, trzeszczy owies  
w zębach. Cwałm Hłdesz smaruje osie.  
Nie wie, jaki plan ma Pan na dzisiaj  
względem niego, więc lepiej być gotowym.

## Cyklop w atelier

Krótkie sukienki z białego szyfonu  
obszyte czarną tasiemką. Kołnierzyki  
owalne, bufiaste rękawy na gumce,  
kokardy w włosach, kręcone loki,  
białe podkolanówki, czarne sandaalki  
zapinane na metalowe sprzączki.

Stoją w miłym towarzystwie stolika  
z litego drewna o toczonych nóżkach  
i wazonu w ciapki z kwiatami z bibuły.  
Tapeta w szare wzroki udaje ścianę  
w mieszczańskim salonie - wystrój  
odpowiedni na każdą okazję.

*Tutaj patrzcie, tutaj* - dłoń fotografa  
wędruje w górę. Pstryknięcie palcami.  
Rozbiegane spojrzenia, niepewność.  
Gdzie mama? Mama, gdzie? Daleko.  
Jej bladą twarz ledwie można dojrzeć  
w nieprzeniknionym mroku atelier.  
Ach! Znikła w białym świetle lamp.

*Tutaj spójrzcie, tutaj* – woła  
ukryty w fałdach czarnego sukna  
garbaty kształt ze szklanym okiem.  
Cyklop! Na pewno on. Taki sam  
jak w bajce, którą wczoraj czytał tata.  
Zaraz wylezie spod fałd, żeby je pożreć  
jak pożarł mamę, wazon z kwiatami,  
stolik, fotografa i wszystko, co miało  
przed chwilą swoją barwę i kształt.

Chwyta siostrę za rękę - nie puści jej,  
żeby nie wiem co. Nic im nie robi!  
Nie robi im nic! Sukno opada.  
Jest mama! Mama jest! Oczy utkwione  
tylko w nią. - I tak zostaje na zdjęciu.



## Gitara

Dom kryty słomą. Przed domem dziewczęta  
siedzą półkolem na stołkach i krzesłach.  
W dłoniach instrumenty: skrzypce, trąbka,  
wiolonczela i gitara. Przerwa w koncercie.  
Chwila wytchnienia. Pora na zdjęcie  
do sztambucha. Za dziewczynami płot.  
Za płotem ogródek. W ogródku malwy,  
jaśmin, bez i mężczyźni w garniturach.

Sześć urodziwych dzierlatek wpatrzonych  
w obiektyw. Długie jasne warkocze  
spadają łagodnie na krągłe piersi  
i krzepkie ramiona. Twarze poważne,  
lekko speszone, lecz uśmiechnięte.  
Spojrzenia odrobinę niepewne.

Sześć kokietek w szarych sukienkach  
i fartuchach sięgających niżej kolan.  
Na grubych łydkach białe pończochy,  
na szerokich stopach skórzane pantofle.

Sześć i ani jednej więcej. Sześć -  
ani jednej mniej. A więc sekstet:  
trąbka, wiolonczela, gitara i skrzypce  
- trudno powiedzieć jakie, bo trzymają  
je dłonie nieprzywykłe do instrumentu.

Więc sekstet. Sekstet mieszany  
w składzie nietypowym - z gitarą;  
zaaranżowany dla żartu, z przekory  
jednej z dziewcząt, dla wprowadzenia  
w błąd dyletantów - wielbicieli tańców  
skrytych w malwach lub zrodzony chwilą,

gdy w duszy wszystkim grać zaczyna.



## **Płócienny kapelusik**

On i ona na leśnej polanie  
kilkadziesiąt kroków od domu,  
oddzieleni od niego polną drogą,  
drewnianym płotem z otwartą furką  
i dobrze utrzymanym ogrodem.

Budynek murowany, z półpiętrem,  
z zadaszonym balkonem wspartym  
na dwóch okrągłych kolumnach,  
z namiastką tarasu i pnącą się  
po drewnianej kracie winoroślą.  
Całość kryta łamanym dachem  
- stylizacja szlacheckiego dworku.

On w pumpach i białej koszuli  
- długie rękawy podwinięte  
do łokci, brązowe pończochy.  
Butów nie widać. Zasłania je  
wysoka trawa i leśny poszyt.

Ona w kretonowej sukience  
bez kołnierzyka - dekolt przysłonięty  
szalem, zapewne bardziej z powodu  
fotografa niż mężczyzny w pumpach.

Pomiędzy nimi kucnęła dziewczynka  
w płóciennym kapelusiku - twarzyczka  
uniesiona w górę, spojrzenie pytające,  
w ręce lewej bukiet polnych kwiatów,  
prawa wyciągnięta po lilię złotogłów.



On w lekkim rozkroku, odchylony  
do tyłu - lewa noga wysunięta  
przed siebie, prawa ręka spoczywa  
na biodrze. Ona bardziej naturalna,  
przechylona delikatnie w prawo  
z ramieniem wspartym na brzozie. Oczy  
obojga wpatrzone w płócienny kapelusik.



## Czesząca włosy

Kobieta z szylkretowym grzebieniem  
w dłoni siedzi w swobodnej pozie  
na progu drewnianego domu  
w drzwiach otwartych na tyle szeroko,  
że widać za nią w półmroku  
szare kształty mebli - stół i dwa krzesła  
na tle kredensu o matowych szybach.

Kobieta w nocnej koszuli  
rozchylonej na mlecznych piersiach,  
podciągniętej za kształtne kolana,  
rozsunięte dyskretnie  
naturalnie lub rozmyślnie  
na tyle, że w ich cieniu  
widać cień trójkąta.

## Pejzaż z toaletką

Ołówek cedrowy z ogryzionym końcem  
kołysany kiedyś w niecierpliwych palcach.  
Linijka bukowa z wypuczonym brzuszkiem  
i kilkoma dziurkami, śladami po cyrku.

Okulary w oprawie drucianej - jedno szkło  
pęknięte, drugie nieznacznie zarysowane.  
Puzderko z czarnej japońskiej laki  
z doklejonym wieczkiem - na wyściółce  
z różowego atłasu trzy mleczne perły.

Spinka do włosów z kutego srebra.  
Wisiorek z bursztynu w kształcie pigwy.  
Złoty pierścionek z grawerowanym  
napisem: *żonie na pamiątkę*. Kartka  
czerpanego papieru zwinięta w rulon  
przewiązany aksamitną wstążką.

Rzeczy hołubione, adwokaci czasu.

## Zielony pantofel

W holu lustro w jesionowej ramie.  
Pod lustrem kapelusz słomkowy  
z wypłowiałą niebieską wstążeczką.  
W upalne lato było ci w nim do twarzy.

W jadalnym stół dębowy.  
Na stole dwa fajansowe talerze.  
W ubiegłym roku jedliśmy naleśniki  
z serem polane wiśniowym syropem.

W sypialni twój zielony pantofel  
z przydeptanym noskiem  
i moje brązowe meszty  
na ściętych krzywo obcasach.

Przyszło. Odeszło. Minęło.  
Otwarte na oścież drzwi wejściowe  
i okno na półpiętrze. Jeszcze chwila  
a przeciąg wywieje z naszego domu  
ostatni znajomy zapach.

Z ulicy po kamiennych schodkach  
wejdą obcy. On roześmiany,  
ona szczebiocząca, młodzi oboje.  
Staną w saloniku. Umilkną.  
*Jak tutaj smutno* - szepnie mu  
do ucha. *Pewnie w tym domu* - on jej  
odszepnie - *nikt szczęśliwy nie mieszkał.*

## **Miasteczko**

Z widokiem na kilka pagórków,  
most i płynącą leniwie rzekę  
- wszystko w rozmiarach rozsądnych.  
O takich proporcjach mówimy,  
że są tożsame, pasują do siebie  
niczym połówki jabłka.

Brzegi rzeki jak dwa bliźniaki  
różnią się niuansami. By je połączyć  
wystarczy sprytna ręka i płaski kamyk.

Dobre miejsce do życia z ogródkiem,  
parkanem, porannym pianiem koguta,  
świergotem wróbli i głosem sygnaturki.

## **Pochwalny**

Niech będą pochwalone miasteczka  
parterowych domków i kamieniczek z cegły  
krytych papą, blachą, czerwoną karpiówką.  
Miasteczka łukowych bram, cienistych zaułków,  
krzywych chodników porośniętych podbiałem,  
lebiodą, perzem, wąskich uliczek z kocich łbów  
i krętych ścieżek schodzących nad ospałą rzekę,  
której bieg mierzy klekot furmanki na moście  
z kamienia i kuranty zegara z kościelnej wieży  
- miasteczka zepchnięte na ugory historii.

## O pobłażaniu

Kwiecień. Środa. Czwarta po południu. Niebo jak rybie oko. Odwiedził mnie Janusz Szuber, poeta z Sanoka - tak o nim mówi Europa. Siedzimy w loggi, na pierwszym piętrze, najwyższym w kamienicy przy Berka Joselewicza osiemnaście. Patrzymy z wysoka. Prawe oko widzi synagogę zmienioną w dom sztuki równych lotów. Lewe ogląda kirkut: gołe brzozy, dęby, nagie modrzewie - żywe pomniki przyrody. Razem widzą bury stok posypyany obficie zawilcami i dziećmi, które wracają ze szkoły do domu. Chłopcy jeżdżą na butach żłobiąc w zawilcach bolesne bruzdy. Dziewczynki rwą kwiaty garściami, wytykają chłopcom że ślepi, głupi, że tylko niszczą. Ich głosy wiercą dziury w uszach. Janusz boi się, i ja się lękam, co będzie, gdy obudzą śpiących. Zbytecznie. Nikt nie wstaje, nie oburza się, nie unosi gniewem, nie goni urwisów między macewami. Nawet błogosławiony Ezelier, syn Meszulama, którym gardziła słoneczna Hiszpania, nawet on, najstarszy z odpoczywających, żadnego nie skarcił słowem, grymasem warg, brwi, tylko wzrok wznosi i wzdycha. - Ezelier wie, jak niesforne potrafią być dzieci.



## O miłosierdziu

Upalne lipcowe popołudnie. Skwar na ulicy Joselewicza równie dokuczliwy jak na innych ulicach a jeszcze swąd przykurzonego mleka, ujadanie psa, głośna kłótnia, krzyk dzieci bawiących się w berka, sprzeczka synogarlic na kominie mykwy i bijatyka kawek na dachu bóżnicy. W lipcowe popołudnie deszcz na ulicy Joselewicza w szumie uskrzydłonego powietrza taki sam rześisty jak na innych ulicach miasteczka - dzieci w zielonych pelerynach i żółtych kaloszach, kobiety pod parasolkami na słupkowych obcasach, w kwiecistych spódnicach z rozporkami po bokach. Miłosierdzie na mykwę, bóżnicę, kawki, dzieci, kobiety, synogarlice.

## Galicyski

motyw leski

Szelest obrusa, szuranie krzesel - ciężkie,  
pewnie dębowe z wysokim oparciem.

Głośna modlitwa: *pobłogosław Panie dary  
które spożywamy...* grzechot sztućców,  
szczekot fajansu, brzęk porcelany.

Siorbanie, śmiechy, chichoty,  
dziecięce przekomarzania i głosy:

- *jutro będziemy składać w szafie pościel*
- *Marynia zamiecie podwórko*
- *kto pójdzie na rynek po włoszczyznę  
niech weźmie koszyk, który stoi w sieniach*
- *kuraka na rosół zamówicie u Lubasowej z Huzel,  
zalega z płatnością za leki*
- *jesteś bardzo blady*
- *za dużo po nocach czyta*
- *marnuje naftę*
- *lampa kopci*
- *przytnij knot, bo okopci powałę*
- *idź się położyć*
- *najpierw pacierz*
- *herbatę podaje się w filiżance*
- *Tekla znowu przydymila kaszę*

## Smaki

W jednej kieszeni pieczone na kuchni  
plasterki grubo pokrojonego ziemniaka,  
w drugiej prażony na blasze bób.

W ręce posypana cukrem kromka  
komiśniaka albo piętka razowca  
mażnięta smalcem ze skwarkami.

Żur z fasolą na zakwasie z mąki owsianej,  
knedle z tartych kartofli z siekanymi  
podgrzybkami usmażonymi na maśle  
i kompot z węgierek suszonych w słońcu.

Na dalekie wyprawy herbata w butelce  
zatkanej korkiem z papieru i jajka  
na twardo maczane w szczypcie soli  
wziętej przezornie do płóciennej szmatki.

Smaki utracone na zawsze.

## Dyptyk

Na fotografii kobiety i dzieci  
na piaszczystej plaży, w tle zakole rzeki.  
Z podpisu wynika, że to Osława  
w Załużu przy ujściu do Sanu.  
Na odwrocie zdjęcia zamazana data „193...”

Musi być południe, lub kilka chwil po,  
bowiem drzewo, które nieopodal rośnie,  
rzuca na ziemię krótki cień.

Pod drzewem, przy sztalugach, dziewczyna  
z paletą w ręce. Na twarzy dziewczyny  
zachwyty, na fotografii sielanka.

Dziewczyna patrzy zapewne na drogę,  
poza kadr zdjęcia, którą codziennie  
zwozi się na plac przy stacji kolejowej  
kłocę bukowe z okolicznych wyrębów.

Patrzy na drogę choć drogi nie widać,  
na wozy, konie, kłody. Ten zachwyty  
jej widzenia widzi fotograf  
- cień na cieniu drzewa.

## Kreska

Wuj Mieczysław schodzi trapem na ląd.  
Granatowa bluza z wykładanym kołnierzem,  
białe płócienne spodnie, na głowie czapka  
z szerokim otokiem, czarnymi wstążeczkami  
i haftowanym napisem: **MARYNARKA**..., dalej  
odczytać nie sposób, bowiem nakrycie głowy  
przekręcił za bardzo w bok. Na ramieniu  
worek marynarski. W worku dobytek.  
Spojrzenie pogodne, twarz uśmiechnięta,

Wybitny koneser smaków narodowych.  
W oryginalny sposób łączy szkocką whisky  
z polskimi plackami z tartych ziemniaków.  
Za jednym posiedzeniem potrafi zjeść ich  
czterdzieści popijając Johnnie Walker`em.  
Brytyjczycy mówią o nim: „*this mad Pole*”.

Nie wiadomo z jakiego okrętu schodzi  
wuj Mieczysław - marynarz polskiej floty  
wojennej, członek załogi „Ślązaka”,  
„Krakowiaka” i „Pioruna” tropiącego  
na Atlantyku niemieckiego „Bismarcka”;  
uczestnik i świadek zmagania Anglików  
z największym pancernikiem świata.

Wiadomo, że wcześniej był gauch`em  
w argentyńskiej pampie, górnikiem  
w kopalni srebra w Chile, trzy miesiące  
wędrował przez Andy, dwa tygodnie błądził  
po bezludnym płaskowyżu żywiąc się

jajami ptaków, pędami dzikich roślin  
i mięsem złowionych koszatniczek  
a po powrocie do kraju nie potrafił  
wyzbyć się marynarskich nawyków  
- wiele lat chodził po suchym lądzie  
rozkołysanym krokiem i spał w sadzie  
w swoim hamaku do pierwszych mrozów.

Na nagrobku wuja Mieczysława  
są daty 1904 – 1985 złączone kreską.  
Ta kreska to historia jednego życia.

## Widok

Ze wzgórza Patria w Turzym Polu  
na dolinę Wisłoka. Jasionów pierwszy  
z prawej, na krawędzi widoku.

Zasłona podnosi się. Niebo jak oko  
ryby zapowiada upalną niedzielę.  
Druga osiemnaście - dziadek niesie wodę  
ze studni, babcia rozpala pod kuchnią ogień.  
Trzecia dwadzieścia jeden - jestem.  
Słońce wschodzi, zasłona opada.

Zasłona podnosi się. Kuchnia oświetlona  
lampą naftową. Siedzę na stole, jem  
pierogi z ojcem - właśnie wrócił z kopalni.  
Mama zrywa się i biegnie w naszą stronę  
- zanim dobiegnie, spadnę ze stołu.  
Lampa gaśnie, zasłona opada.

Zasłona podnosi się. Skrzypi furmanka  
w skwarze lipcowym - ostatnia podróż  
dziadka. Za furmanką ja, mama, ojciec  
i babcia. Innych nie widać. Zasłona opada.

Zasłona podnosi się. Wschodzi księżyc.  
Wigilia u ciotki Jadwigi. Wujowie  
w koszulach z podwiniętymi rękawami  
idą gęsiego przez ogród dziadka.  
Za nimi stryjenki, podlotki i dzieci.  
Księżyc zachodzi, zasłona opada.

Zasłona podnosi się. Szare niebo. Siąpi.

Palimy znicze na świeżej mogile.  
Mama płacze, ojciec milczy.  
Nie zdążyliśmy na pogrzeb babci.  
Dzień zachodzi, zasłona opada.

Patrzę ze wzgórza w Turzym Polu  
na dolinę Wisłoka. Jasionów pierwszy  
z prawej. Nie pamiętam tego widoku.



## Wilia

Przynieście drzewko – smukłą jodełkę  
z lasu pachnącą żywicą, przymrozkiem,  
oprószoną śniegiem grudniowym,  
godną szpica lub srebrnej korony.

Umocujcie w krzyżaku z drewna,  
przystrójcie bańkami lśniącymi  
jak krople w ostatnich promieniach  
słońca, które zapali za chwilę  
najważniejszą gwiazdę na niebie.  
Zawieście ozdóbki z wydmuszek,  
ciężej słomki, marszczonej bibuły,  
sople cukierków w zimnym staniolu,  
rumiane jabłka, włosy anielskie  
i watę która będzie śnieg udawać.

Siądźmy do wieczerzy. Stół zwyczajny,  
chłopski, na dwanaście potraw - zmieści  
wszystkie; dla dwunastu osób - miejsce  
dla każdego. Na pierwszym babcia  
Kazimiera z dziadkiem Janem. Po lewej  
i prawej synowie, córki z rodzinami:  
wuj Władysław z żoną Marią, Jadwiga  
z Mieczysławem Giermańskim, Zośka  
z Mietkiem, Janka z krawcem Stułą,  
Helka z Grześkiem, Bronka z Adamem,  
Tadek z Józką. Dzieci na kolanach.  
Kolan czterdzieści i cztery, wiele  
pustych - da Bóg, czas je zapełni.

Po kolacji pójdziemy na pasterkę

- pojedynczo, jedno po drugim -  
jedni wcześniej, inni później  
i nucąc psalmy i hymny pochwalne  
czekać kornie będziemy aż wszyscy  
zjawią się na niebieskiej wieczerzy.

## Co ja robię

na drewnianej ławce pod ścianą  
drewnianego domu ciotki Zofii,  
która wyszła na chwilę  
i już nie wróci, chociaż wracała  
po dłuższych nieobecnościach.

Co ja robię tutaj odurzony  
majowym słońcem, oszołomiony  
jabłecznikiem domowej roboty,  
którego smak miesza się z widokiem  
kwitnących przed domem jabłoni.

Co ja tutaj robię przejazdem  
z – do, zatrzymany w drodze  
dla rzucenia okiem, nazywający  
chwilę, która dzieje się,  
zbiegiem okoliczności.

## Esej o domu

Dom drewniany kryty eternitem  
z werandą i tarasem od frontu  
z którego widać kwitnące drzewa  
owocowe. Między drzewami maliny,  
porzeczki, agrest, dereń i aronia  
oddzielone pasem ziemi ornej  
zapewne pod bobik lub koniczynę.

Za ogrodem łąka porośnięta komosą,  
tatarakiem i żabieńcem - podmokła,  
więc nieużyteczna, lecz zachowana  
przez właściciela w stanie naturalnym  
jako przeciwwaga dla zadbanego ogrodu.

Wokół martwa cisza. Żadnych głosów,  
śmiechów, przekomarzań, skrzypienia  
drzwi, szelestu kroków. Kto był tutaj,  
już go nie ma. Żadnego śladu po nim,  
zapachu, nawet jego cienia.

## Do Leona Ch.

Namaluj zwyczajną wiejską drogę,  
po obu stronach kosmate wierzby,  
skrajem idą puchate gęsi, środkiem  
jedzie teleżka. Przy dyszlu kobyłka  
ze zwieszonym łbem, na koźle chłop  
w serdaku - kaszkiet zsunął na tył  
głowy, w półkoszkach szare renety.  
Kobyłka człapie, chłop drzemie,  
klekocą koła na wybojach.

Przy drodze kapliczka bielona wapnem,  
w środku figurka św. Krzysztofa.  
Za kapliczką pole. W polu ognisko.  
Przy ognisku chłopiec - jasne włosy,  
niebieskie oczy, koszula wpuszczona  
w spodnie na szelkach, patyk w ręce  
lewej, w prawej pieczony kartofel.  
Głowa zadarta w górę. Słyszy  
żurawie, lecz ich nie widzi. Wie,  
że ten po tamtej stronie, który patrzy  
na niego, to on, namalowany.

## Tylko

Od czego zacząć, jeśli zaczęte  
toczy się obok nieśpiesznie samo  
z siebie od znanego początku  
do wiadomego końca, który zwieńczy  
dzieło naszych domysłów i urojeń.

Ulotne zdarzenia, w nich postaci  
pół cielesne o których sny nie dają  
zapomnieć; głosy z tamtej strony  
i z tej, gdy wiemy, że ta i tamta  
jedną i nie można jej rozdzielić.

Mogę tylko opowiedzieć jak obłok  
z obłokiem i niekonieczne na niebie,  
kot z gołębiem, mężczyzna z kobietą,  
kołyska z lipą, kołowrotek z przędzą  
- kanon praw odwiecznych i powiązań.

O bakłażanie i ogórku w miodzie  
z zachwytem dla barw, zapachu, smaku.  
O rudziku i sumaku octowcu,  
które są jak tamte nie dlatego  
by nas dziwić, lecz by je podziwiać.

## Tworylne

Zardzewiałe blaszane wiaderko  
z urwanym łańcuchem, ciężarkiem  
przy uchu i dziurami po pociskach.  
Nosidło bez rzemieni i haków.  
Pozbawiony czerpaka żuraw - kikut  
kościsty na tle błękitu. Studnia  
wśród pokrzyw do której nie przyjdzie  
nikt spragniony. Przy niej koryto  
dla koni i bydła z mętną deszczówką  
w której pływają traszki i kumaki.

Spichlerz, albo stodoła, z resztką ścian  
strawionych przez pożar. Obok chyża  
wirtualna; łom z szarego piaskowca  
ułożono wprawną ręką w podwaliny  
z zaznaczonymi pomieszczeniami: sieni,  
kuchnia, alkierz i zapewne komora  
lub pokój dla gości. Pod nogami dywan  
z zielonych mchów, traw i stokrotek,  
nad głową szybujące bociany.

Wejdz do sieni, pozdrów gospodarzy,  
poproś o szklankę świeżej wody  
z wiaderka. Gdy jej nikt nie poda,  
idź do sadu, siądź pod czereśnią,  
oprzyj plecy o jej gładki pień,  
patrz na zdziczałe grusze i jabłonie,  
wysłuchaj górskiego strumienia  
który płynie między sadem a chyżą,  
wstań i wróć do swoich wiedząc już,  
jak zaczęło się i czym skończyło.

## Studnia

Okrągłą cembrowinę, porośniętą  
kosmatką i powojem, postawiono  
z łupanego piaskowca łączonego  
gliną. Między kamieniami kopczyki

czarnych mrówek. Na gzymsie  
złotozielona jaszczurka zwinka  
rozciągnięta w słońcu jak struna,  
obok kosmaty trzmiel. Wokół studni

zdziczały sad, lepiężnik i ciemiężycyca.  
Nad studnią niebo i wszechobecna cisza.  
Za studnią wiadro rzucone w pośpiechu

przez strwożonego gospodarza  
albo wędrowca. Do takich studni  
przychodzą niedźwiedzie i nieszczęścia.



## Sad w Łopience

Skrzypienie podłogi,  
szelesty, szmery, szepty,  
cichy śmiech i falset:  
*podoruwał meni chustoczku,  
szczoby ja mała czym wytarty oczi...*

Turkot kół - jadą wozy.  
Szuranie racic - idą woły.  
Powolne stąpanie - niosą  
ciężkie toboły. Szloch kobiet  
jak echo wśród pustych ścian  
albo pod kamieniami.

Nie widać nikogo  
choć słycać wszystkich.  
Gwar jak w dzień targowy  
- bez melodii i dźwięków -  
podobny do szumu wiatru  
który nocą potrząsa gałęzie jodeł.

## Za drewnianym mostem

przy drodze z Bukowca do Dołżycy  
- wąskiej jak tasiemka - pod lipami  
na zakręcie dwa serafiny  
czekają w chyży  
na ruską furmankę.

Przed chyżą  
- w cieniu lip -  
siwa babuleńka  
odmawia różaniec.

*Mogły - mówi - polecieć same,  
lecz ktoś lekkomyślnie  
w rozgardiaszu podróznym  
poutraćał im skrzydła.  
Potem inny człowiek  
- z dobroci bezrozumnej -  
posklejał im wargi  
werniksem z mastyksu.*

Przychodzi codziennie  
i za niemych świętych  
śpiewa lasom: *hosanna*,  
górom: *alleluja*,  
pokrzepia na duchu  
zbląkanych podróznym.

## **W Dwerniczku**

Między czwartą a siódmą  
po południu  
czekaliśmy w przydrożnej kapliczce  
pekaesu.

Do południa mieliśmy czas,  
teraz  
nawet na lekarstwo.

Między czwartą a siódmą  
po południu  
w przydrożnym przystanku historii  
czekał Frasośliwy z Bizancjum.

Jak przystało unitom  
piliśmy swoje piwa  
z goryczką miłosierdzia.

## Wrześniowe cienie

Chmury, brudne kłębki waty pędzone  
niskim wiatrem, jak października albo listopadzie.  
I jeszcze ten akord, jakby ktoś przeleciał palcami  
po klawiszach akordeonu. Widziałem,  
słyszałem siedząc w foteliku: wygodny był,  
rozkładany, z rurek duraluminiowych,  
siedzenie i oparcie z płótna żaglowego,  
- stał na brzegu. Za plecami czerwone buki  
szczypane przez pierwszy przymrozek, ścieżka  
na Połonię Caryńską wąska na osobę i cmentarz  
Buchwaków o którym chce się szybko zapomnieć.  
Na wprost wschodni stok Wetlińskiej: żółte brzozy,  
rude osiki, jałowce bure niedźwiedzie, potok  
górski, most z betonu i skrzyżowanie traktów  
- tak mówiono za Buchwaków - dzisiaj szos  
z asfaltu do Dwernika, Ustrzyk Górnych, Wetliny  
pustych, cichych. Nikt nie idzie. Nic nie jedzie.  
Słońce w twarz - właśnie schodzi z Małej Rawki.

## Zwyczajny

Opowiedz o mleczu - rośnie na chodniku  
w prowincjonalnym miasteczku. O łożu  
albo tataraku na podmiejskich błoniach  
przez które płynie ospała rzeka. O mięcie  
przyprószonej siwym pyłem polnej drogi  
którą właśnie jedzie listonosz na rowerze  
ocierając spocone czoło wierzchem dłoni.  
O lebidzie, bodziszku i białej koniczynie  
przy ścieżce którą wracają do domu  
rozbrykane dzieci z koszami grzybów.  
O końskim szczawiu porastającym zdziczałe  
sady, zasypane studnie, zapomniane groby.  
O koszuli w kratkę, rzemiennych sandałach  
i patyku, który trzymasz w ręce i nic o sobie.

## O odpowiedzialności

Jestem odpowiedzialny za zalety chmur na wietrze, porządek żurawi lecących na północ, za klangor i radosne liczenie ich oczami. Za słońce niemrawe, uparte, za pierwsze przebiśniegi i śniegi ostatnie - za dyskretne przeplatanie się ich różnic i podobieństw. Za kamyki w strumyku kiedy chrzęszczą pod stopami, jazgarze w kałabaniu, motyle cytrynki nad stawem, muszki, ważki, skowronki. Za szpadel i grabki oparte o ścianę. Za skibę ziemi w ogrodzie. Za dym z komina pukający do nieba. Za chleb znaczony krzyżem, za jego skórkę żółtą, spękaną, za piętękę ze smalcem doprawionym skwarkami i przysmażoną cebulką. Za leżenie w trawie z ręką pod głową w towarzystwie dzikiej koniczyny, pokrzyw, mleczów, mięty, za łodyżkę turzycy trzymanej w zębach i za to bezrozumne gapienie się w błękit.

## Spontaniczny

Ziarnko piasku na skraju drogi. Nie ma gdzie się podziać. Nie szuka schronienia przed słońcem, deszczem, wiatrem. Nie wie, na kogo czeka. Że czeka - nie wie. Znalazło się w moim bucie przypadkiem, wcisnęło pod duży palec, ułożyło wygodnie, wypukłością do góry i zaczęło uwierać jak ziarnko piasku - indywidualnie, prywatnie, bez wyczucia że przyjdzie rozdrażnienie, zniecierpliwienie, pora wysnucia wniosku iż dokucza nie z powodu, z racji, z musu, lecz z istoty swojego istnienia. Wyrzucone z buta na skraj drogi widziało jak odchodzi bliski człowiek, a ono zostaje i nie ma gdzie się podziać. Nie szuka schronienia przed słońcem, deszczem, wiatrem. Nie wie na kogo czeka, że czeka, że na skraju drogi.

Dobrzy ludzie, przygarnijcie ziarnko piasku.

## Kamyk

Mówisz: *kamyk* - widzę go na drodze.

Mówisz: *droga* - widzę zawsze pełną  
wśród wąskich łąnów chłopskiego zboża,  
jak idą nią w skwarne południe z głową  
odkrytą brodząc w jej świętym kurzu.

Powiesz: *ogród* - ujrzę antonówki,  
bery, kosztele, czereśnie, węgierki,  
szare i złote renety, pod nimi  
czerwone porzeczki, agrest, cynie,  
flokсы, piwonie, grządki warzywne.

Powiesz: *dom* - zobaczą drewniany  
kryty słomą. W cieniu, pod okapem,  
chłopca w kąpielówkach z nagim torsem,  
z dłonią osłaniającą oczy które patrzą  
na drogę, lecz idących nią nie widzą.



## O zapamiętywaniu

Pamiętam ścieżkę przez las - ojciec niósł mnie na barana. Przy ścieżce prawdziwki w kapeluszach zamszowych włożonych na bakier spoglądały z góry na stada potulnych kurek stojących na jednej nodze. Za nimi kozaki czerwone, łyskające mlecznym podniebieniem. Dalej kanie, rydze, maślaki, oliwkowe gołąbki i samotny podciek - czarny, jakby uwalany w sadzy, na podściółce z szpilek świerkowych sypanych latami na gliniastą ziemię - nazywany również sińcem z powodu sinych nacieków w miejscu ściśniętym palcami, zapamiętany dla swojego kształtu, barwy oraz smaku zupy podbitej gęstą śmietaną, którą babcia nabierała drewnianą łyżką z kamionki stojącej w komorze tuż za drzwiami, żeby była zawsze pod ręką.

## Basztowa 13

Bądź pozdrowiona ulico Basztowa.  
Pozdrowione twoje krzywe chodniki  
po obu stronach, piętrowe kamieniczki  
z rudej cegły zdobione soplami  
zacieków, otwarte latem okna  
na oścież i bramy od ulicy  
przez które widać brukowane podwórko  
z krzakiem bzu, ławkę bez oparcia,  
blaszany pojemnik na popiół  
i żeliwną pompę hałasującą  
od świtu do trzeciej po północy.

Pozdrowione twoje tajemne zakamarki,  
w nich niespodziewane świetlne błyski,  
wszystkie mroki i półmroki, również cienie  
i półcienie, stukot końskich kopyt, klekot  
wozu z węglem, świst bata i wołanie  
furmana: „*Złoto! Złoto wiozę!*  
*Czarrne złoto!*” trzask okna na piętrze,  
głos mężczyzny w białym podkoszulku:  
*Zrzuć cztery kosze, w piątek ci zapłacę*  
i szybka odpowiedź: *Nie borguję nikomu.*

Bądź pozdrowiona o świcie i zmierzchu,  
w słońcu i w deszczu, w migotaniu gwiazd,  
lśniąca jak zaskroniec srebrną łuską  
kocich łbów gdy wspina się z Placu Bram  
na Kopiec Tatarski samotny księżyc  
i gdy wczesnym świtem schodzi z niego  
najkrótszą drogą do Śródmieścia słońce,  
a z wami lata siedemdziesiąte.

## **Przysypani szarym śniegiem**

Bodiaku z główką kolczastą, nieforemną.  
Ostróżko stojąca cierpliwie na jednej nodze.  
Pokrzywo w sukni ciasnej, szytej na miarę,  
prawdziwej do bólu. Słowiku, który w maju

nie przespałeś spokojnie jednej nocy.  
Boża krówko, ty, co żyłaś beztrosko  
całe lato. Kamieniu polny bez zapachu.  
Czapło z siwym czubkiem nie narzucająca

swojego towarzystwa. I wy nie wymienieni  
z nazwiska, jak też wszyscy pozostali  
bezimienni, osobni, nie do pary,

przysypani szarym śniegiem,  
wybaczcie nam, ślepym,  
że nie widzą piękna w pospolitym.

## Tańczący na promieniu

Najpierw Rysiek, z którym można było  
kraść konie, przyjaciel z dzieciństwa,  
wspólnik nocnych wypraw na truskawki  
sąsiada, nauczyciel „picia z gwinta”.

Potem ojciec. Też niespodziewanie.  
Ciotka Jadwiga w chustce z szyfonu  
krocząca na kościstych nogach  
zagonami otawy i peluszki  
- mięsiste łodygi sięgały kolan.  
Wuj Mietek układający na kromce  
grudki masła dłubane kozikiem  
z porcelitowego garnuszka.

Babcia Kazimiera - krucha jabłonka  
przechylona na tamtą stronę, choć cień  
jej korony ciągle jeszcze po tej stronie.  
Kuzynka Wiesia z guzem mózgu. Wuj Włodek  
z porzekadłem: *”nic mnie tutaj nie trzyma”*.  
Ruda Fela bojąca się panicznie ciemności.  
Chuda Julcia mdlejąca na widok pająka.  
Wszyscy tańcząc na promieniu.

## Marja

Pismo urzędowe formatu a5 – poźółkłe,  
z kleksem na środku, postrzępione boki,  
nagłówek pogrubioną trzcionką: **Wyciąg  
Wyroku Skazującego**<sup>2</sup>. W lewym rogu  
drukiem drobniejszym: **Sąd Powiatowy  
w Ustrzykach Dolnych**. W prawym  
data: **20/3 1927**. Niżej uzasadnienie  
pisane na maszynie: *Marja Lolo, Cyganka,  
lat 16, nieślubna córka Paraski,  
bez zajęcia, wyznania gr.- kat. na karę  
aresztu przez dwa dni za włóczęgostwo*.  
Pod spodem sygnatura sprawy,  
okrągła pieczęć i nieczytelny podpis.

Szczegółów musimy się domyślać:  
kwiecista spódnica, chusta na ramionach,  
włosy splecione w warkocz, schylona głowa,  
przygarbione plecy. Wzięta z ulicy  
w trakcie wróżenia. Jej tabor stał w Dębach  
nad Strwiążem. Rano zniknął.

## Edi

Codziennie rano w pół do szóstej,  
czasem kilka minut później, budził nas  
gwiżdżąc na podwórku *Che sara, sara*  
i postukując drutem, którym wyciągał  
z kontenera aluminiowe puszki.

Rumun lub Czeczen - smągła twarz,  
kruce włosy, oczy jak oliwki.

Nazywali go, Edi. Spał na działkach  
w opuszczonych altankach, na klatkach  
schodowych, w parku pod gołym niebem.

Kiedy świeciło słońce chodził z parasolem,  
gdy padał deszcz, z odkrytą głową. Zbierał  
butelki, papier, drobny złom, karmił gołębie,  
zdziczałe koty, dzieciom fundował cukierki.

Znaleźli go w parku z rozbitą głową.

## **Jaśmina**

Trzydzieści dwa lata, ormiańska uroda -  
sarnie oczy, wąskie biodra, mocne ramiona.  
Samotna. Dwoje dzieci. Trzecie w drodze.  
Każde po innym ojcu - słodkie owoce  
jej uniesień miłosnych.

Mieszkała na szóstym piętrze.  
Hodowała egzotyczne kwiaty,  
chomiki, żółwie, papużki  
- dla dzieci, żeby umiały kochać.

Skoczyła z okna.

## Żurawie

Dziadek o pierwszej wojnie:  
okopy, zasieki, haubice, tanki,  
czołga się, pełźnie, jak kret ryje  
w ziemi bezpieczne korytarze,  
ktoś go z nich przepędza,  
on kogoś ogląda na końcu lufy  
- zbyt krótko, by zapamiętać  
do kogo podobny.

Babcia o pierwszej miłości:  
w ustach kaczeńce  
w oczach niezapominajki  
- ach, jakie to szczęście że jedno  
i drugie znaczy zawsze to samo -  
żółte podniecenie niesie ją  
w cumulusy; żegluję w nim  
po niebie jak w aeroplanie.

Wrogi obiekt ujrzał dziadek,  
nasunął kaszkiet na oczy,  
przymierzył, wypalił.

*Widzisz - to do mnie - ten stary  
zawistnik znowu strzela  
do moich żurawi.*



## Łąka

Nie śpię z karabinem u boku.  
Karabin nie jest i nie będzie  
moją połowicą ani kochanką.  
Nie zachwycą mnie jego uroda,  
gracja, wdzięk ani możliwości,  
którym nie potrafili oprzeć się  
moi przodkowie i krewni.

Pradziad spał z arkebuzem, dziadek  
z muszkietem i giwerą, ojciec  
z dubeltówką i pepeszą snem  
czujnym, niespokojnym, gotowi  
zerwać się i pędzić przed siebie  
z okrzykiem: *Polska! Polska!*

Wyrzekłem się ich żon i oblubienic.  
Sny ich, nie są moimi snami.  
Nie patrzę na łąkę jak oni,  
przez muszkę i szczerbinę;  
patrzę, żeby widzieć bociany,  
motyle, kaczeńce, skowronki.

Czasem, nie wiem nigdy w śnie  
czy na jawie, przykładam kolbę  
do ramienia i mierząc do celu  
biegnącego chyłkiem po łące,  
widzę chłopca z karabinem  
i poznaję, po sylwetce i ruchach  
wnuka który ma się urodzić.

## Nie jestem bohaterem

Nie powierzajcie mi swoich sekretów  
ani tajemnic. Zdradzę wszystkie.  
Was również - pojedynczo, w grupie,  
niezależnie od łączących nas  
znajomości, przyjaźni, pokrewieństw.

Taki jestem. Potulny, przesiąknięty  
strachem do szpiku kości. Gdy przyjdą  
po mnie, wykręcą mi ręce, zaciągną  
w miejsce w którym tylko ja i oni,  
już tego nie wytrzymam. Wiedzą o tym.

Więcej. Są pewni że zaczną śpiewać,  
kiedy spojrzą na mnie, uśmiechną się  
półgębkiem, puści jeden do drugiego  
oko, zrobi minę, stanie za mną tak,  
żebym czuł na plecach jego oddech.

Nie muszą stosować wymyślnych tortur.  
Bicia po nerkach, wykręcania stawów,  
przypalania papierosem, miażdżenia  
palców, wrywania paznokci kleszczami.  
Na sam widok ich pęknię i zaczną sypać.

## **Ekspozycja**

Nóż z obsydianu z drobinkami  
krwi w onyksowych szczelinach  
- ciął, dźgał, pruć, podrzynał.

Toporek z szarego granitu  
- dziobaty, bił po czaszkach,  
piszczelach, potylicach.

Włócznia z krzemiennym grotem  
bez szpikulca - został  
w cudzych trzewiach.

Łuk astrachański - miotał  
strzały, które dziurawiły  
człowieka na wylot.

Sznur z konopi i włosia  
z węzłem i pętlą - rozmiar  
na każdą szyję.

Niedostępne, w oddzielnych gablotach.  
Przy wejściu baner: ***Wystawa  
cykliczna - narzędzia przodków.***

## **Pustynia**

Z lęków cała, skarg i lamentów  
- cudzych, zupełnie nam obojętnych.  
Inna od ogrodu, który hołubimy  
jako prapoczątek wszystkiego.

O pustyni nie opowiadamy,  
nie marzymy. Pusta jest pustynia  
bez nas. O słońcu na pustyni również,  
choć jest miejscem najśnieźniejszym  
pod słońcem i nam nie ogrodem iść,  
lasem, doliną, lecz w słońcu pustynią.

Pustynia naszym prapoczątkiem,  
trwaniem i naszą ostatecznością.

## Przecież

Ziarnko piasku w wyniosłą skałę  
nie po to żeby wspinać się na nią  
łamiąc kamienny opór dla zasady  
(wystarczy przecież liryczny zabieg),  
lecz żeby skała była dla skały.

Iskrę ukrytą w zwęglonej głównej  
bez domysłów i natrętnych podejrzeń  
czy jest, gdzie jest, w płomyk widziany  
z każdej strony, który jedno tchnienie  
zmieni w początek wielkiej pożogi.

Myśl w błyskawicę przelatującą  
z obłoku na obłok, albo w jeźdźca  
pędzącego samotnie przez pustynię  
który samotności nie dzieli z nikim  
z wyjątkiem wierzchowca i pustyni.

Jego w ciebie i ciebie we mnie.  
Ich w was i was w nas - zawsze,  
wszędzie, nieodmiennie na wieki  
w myśli, w słowie i w czynie, że My  
i nigdy Oni, odrzuceni, oddzielnie.

## Odys kuszony

Klęczę na plaży,  
rysuję znaki na piasku.  
Rzym śpi - historie takie jak ta,  
przestały go bawić.  
Kobiety obok ściągają sukienki  
i oddają się słońcu - czuję to,  
nie potrafię się od tego uwolnić.

Kim jest ten,  
który sprawdza się teraz  
- przeklęty,  
rodzony w bólach,  
odrzucony razem z łożyskiem.

Kim on jest  
- ten z moją twarzą,  
z moim życiorysem,  
ten osaczony

Ogigio,  
dryfująca wyspa szczęśliwości,  
czemu kuszysz mnie plażą  
niespełnionej nadziei.  
Przecież dopłynąłem do twoich brzegów  
i moje ciało stało się tak sypkie  
że skowyczą ściany w których je zamknęto.  
Ten stan trwa długo,  
bardzo długo  
- chwilę liczoną przez falę przyływu.

Wodo,

płaska wodo dźwigająca na plecach  
mnie i moją tratwę.  
Czemu milczysz,  
przecież mówisz perłą, muszlą, kością  
ogryzioną przez prąd głębinowy  
i porzuconą na obcym brzegu.

Wodo owinięta czule  
wokół kamyka, ryby, wodorostu,  
czekam cierpliwie na chwilę  
twojego roztargnienia  
- odruch zwykłej bez troski.

## **Odys zwiedziony**

Ach Kallipygos. Byłem rybą.  
Płynąłem do ciebie przez ocen  
obietnic. Wokół mnie morze wrzało.  
Woda niosła rybie szkielety.

Byłem ptakiem. Frunąłem do ciebie  
na skrzydełkach krwi. Powietrze stygło.  
Ptaki spadały z trzaskiem na ziemię  
- wmawiałem sobie, że to sople lodu.

Ach Kallipygos, Kallipygos. Jak dobrze  
że byłem i ptakiem, i rybą.



## Tańcząca na piasku

Stanęła na palcach prawej stopy, dłonie nad głową, bez twarzy, ognia w oku (bez nich taniec nie jest tańcem) i brodziła w piasku jak w wodzie, choć piasek wodą nie był, i był, gdy w oku błysnął ogień.

Wirowała nad piaskiem kroplą deszczu, listkiem, piórkiem, odurzona myślą że może, że sama, że nie musi z inną, że posiadała umiejętność niedostępną, że wiedza o niej trzyma ją w powietrzu.

Niebo nad nią, niebo pod nią i w niej splecione w czułym uścisku jak dzień z nocą, wschód z zachodem, każde inne, odmienne, przeciwne jedno drugiemu i podobne - stworzone jedną myślą.

## Lustro

Jest rzetelne. Nie upiększa tego,  
co widzi. Nie wygładzi kurzych łapek  
pod oczami, nie usunie piegów  
z nosa - sprawi że kurze łapki  
i piegi będą po obydwu stronach.

Otwarte i jednocześnie zamknięte  
nie zdradzi w odbiciu, kim jest ten,  
kto stoi przed nim z łzami w oczach  
- tylko jego łzy, pokorne czekanie  
i swoją głębię z użyczonym światłem.

Przeniknięte do szpiku szklaną zazdrością  
o każdą odmienność w swoim odbiciu  
nie ujawni, jaki byłeś wczoraj,  
w niedzielę, w maju ubiegłego roku,  
albo jaki jesteś w innych odbiciach.

Takie jest, takie było i będzie po kres  
swojego kruchego istnienia. Nie zmieni  
go zamykanie w piwnicy, postawienie  
twarz w twarz ze słońcem, obrzucanie  
kamieniami, wyrok skazujący na nicość.

## **Jak**

Zostaw, niech decyduje się samo.  
Los, przeznaczenie, przypadek, zbieg  
okoliczności - nazwij jak chcesz,  
jeżeli masz taką potrzebę.

Niech mrówka idzie tam, gdzie idzie  
- nie zawracaj jej, nie zmuszaj,  
ponieważ znasz, lub zauważyłeś  
przeszkodę na drodze do celu.

Motyl trzepocze skrzydełkami, siada,  
trzepocze znowu zdając się na zbieg  
okoliczności, przypadek, przeznaczenie  
któremu nie stara się zapobiec.

Niech mrówki idą tam, gdzie idą,  
motyle trzepoczą skrzydełkami  
z powodu nie dbając o powód.  
I ty bądź szczęśliwy podobnie

jak one nie winiąc przyczyny  
która służy usprawiedliwieniu,  
że szczęśliwy nie jesteś, ponieważ...  
Bądź nim bez powodu, bądź, żeby być.

## Do przyjaciela

Nie wyrzucaj sobie, że nie dokonałeś  
niczego. Spełniłeś święty obowiązek:  
zbudowałeś dom, spłodziłeś syna,  
zasadziłeś drzewo. Syn stał się mężczyzną,  
więc odszedł, drzewo zaniedbane uschło,  
dom spłonął w pożodze, której nie byłeś  
winien i której nie dało się zapobiec.  
Trzy odrębne historie (każda z nich  
z inną fabułą) zakończone dramatem.  
Tak zaczyna się i często tak kończy.

Przekonywałeś nas, (nieufnych) że życie  
to sztuka w której gra aktorów obchodzi  
jedynie widownię. Aktorzy wchodzi  
na scenę, schodzą i znowu wchodzi,  
i tak w kółko, aż widz przestaje się dziwić.  
Zostań dla nas (widowni) i dla siebie  
aktorem - wejdź na scenę, zbuduj dom,  
spłódź syna, zasadź drzewo w ogrodzie.

## Noc nad stawem

Opowiadajmy cudze historie,  
jeżeli nawet mijają się z prawdą.  
Nie muszą również być wiarygodne.  
Wystarczy urok, wdzięk i melodia  
która chwyci za gardło a widzenie  
ich przysłoni mgiełka melancholii.  
O księżycu, jego nowiach i pełniach,  
cyklach trzynasto i siedmioletnich,  
pływach, gwiazdach i nic o słońcu.

Swoje serio (z brwią uniesioną)  
- żeby dzwoniły zawsze jak złoto  
wtopione w śmiech, który rozbawi,  
uzdrowi, zaleczy. Z miną naiwną,  
z króliczkiem pod pachą, z ironią  
w oku, z nieomylną pewnością  
łabędzia który żegluję po stawie  
jak statek-widmo, mija bezszelestnie  
księżyc i gwiazdy w lustrzanej głębi.

## Las

W lesie wszystko pojedyncze: dąb,  
sosna, kuna, leszczyna, jodła,  
lis, niedźwiedź, i na swoim miejscu.  
Kanon mówi: *Tak było, tak będzie.*

Wejdz do lasu, stań między nimi  
jak one, pojedynczy. Nie udawaj,  
nie maskuj się, nie naśluduj.  
Pojedynczy znaczy bezpieczny.

Las również od początku do końca  
w granicach które zna, kto błędził  
pośród chaszczy i mrowisk czując  
na plecach natrętne mrowienie.

A kiedy wyjdiesz z lasu pewny,  
że do niego już nie powrócisz,  
zostaw drzwi uchylone, by inni  
mogli wchodzić nimi pojedynczo.

**Np.**

Na przykład jesień, kiedy płoną drzewa i trawy (płoną i krwawią). Widok ten tak nas zachwyca, że podziwiając go z tchem zapartym nazywamy niezmiennie cudem (natura nie zna pojęcia dramat, tragedia, chociaż płonie i krwawi).

Tak ujawnia się nasze łaknienie cudu (bez zdobień i uszlachetnień) ukryte w kłębowisku emocji i namiętności, karmione przysmakiem, który potrafi zaspokoić największe łakomstwo.

Łaknienie nieskazitelnie czyste i niewinne jak każde doznanie które nieomylnie doprowadzi do końca - zginie, żeby zwodzić.

## **Zabawy użyteczne**

Ufajcie słowom. Słowa nie kłamią.  
Na przykład: sumak, i dalej,  
octowiec, nie oszuka nikogo  
sensem wyrażenia, znaczeniem,  
wymową. Więc sumak octowiec.

Więc: sumak octowiec rośnie w...  
i on, niewierny, służyć będzie  
wiernie pojedynczo i zbiorowo,  
z czego wyniknąć powinno,  
(wyniknąć musi) i wyniknie,

lecz bez pewności, że obecnie  
- w czasie, kiedy służy komuś,  
czemuś, (nikomu i niczemu)  
czyli rozważaniu o sobie,

zabawa zmienia się w czas  
stracony, który w tym czasie  
nie bawi się z nikim i sensu  
jego istnienia nie rozważa.



## **Widok z tarasu**

Zapuszczony trawnik, czerwony głóg,  
bukszpan, cis, zrujnowana fontanna  
z kamienną syreną, dąb, lipa, wiąz.  
W głębi ścieżka zarośnięta łopianem  
i ledwie widoczna w leszczynie altana.

Wszystkie kolory północy: spłowiałe,  
matowe, szare, bez ażurowych cieni,  
rozbłysków, tajemnych prześwitleń  
- jak na wyblakłej pocztówce z wakacji  
lub nieumiejętnie zrobionym zdjęciu.

Zbieraczu szczegółów, poszukiwaczu  
odniesień, obserwatorze z dystansu,  
odsłaniaczu sedna, molu książkowy,  
specu słownych hocków-klocków i trików,  
zapisz tak, by skamieniało w powietrzu.

## **Pinia**

Jak przekonać mamę, żeby nocą  
nie zostawiała otwartych drzwi,  
nie wsłuchiwała się w każdy głos  
za ścianą, nie zrywała się z łóżka  
i nie biegła do wyjścia krzycząc: *Idzie*.

Nie chodziła od okna do okna  
i nie stała przed nimi godzinami,  
lub przed domem, osłoniwszy oczy  
przed słońcem nie wpatrywała się  
w jedno miejsce na horyzoncie.

Dziewięćdziesiąt pięć lat obcowania  
pamięci z rzeczywistością - siostry  
z siostrą obcego pochodzenia  
z którego wyrosła niema pinia  
sięgająca koroną nieba.

## **Drzewo, kwiat, zwierzę**

Patrz, są: ulice, drzewa, park, dom.  
Szli tędy wczoraj, przedwczoraj,  
w ubiegłym tygodniu. Widzisz ich?

Widzisz jak idą ulicą, śmieją się  
na cały głos, jak podnoszą rękę,  
pozdrowiają przyjaznym gestem,  
żegnają się wchodząc do domu,  
otwierają drzwi, głaszczą kota  
który ociera się o nich w progu,  
poklepują na powitanie psa?

Widzisz ich? Widzisz jego, ją,  
choć ich nie ma i nie będzie, i ulica  
którą szli, należy do ciebie, i park,  
drzewa, drzwi, kot i podniesienie ręki?

Nic ważne nie jest i wszystko jest.  
Nikt nie jest sobą, choć stara się być;  
drzewo tylko, kwiat gdy kwitnie, zwierzę.

## **Kantyczka na obój lub flet**

Zostaw mnie Panie na krótkie jeszcze.  
Stanę na łące na jednej nodze  
jak bocian, albo w zbożu jak strach  
na wróble z makiem w butonierce  
cichy, nierzucający się w oczy.

Zostaw mnie w dłoni wyciągniętej  
na powitanie, w skinieniu głowy,  
w pyłku lebiody, w ziarnku piasku  
na skraju drogi, w kropli rosy  
która o świcie napoi zieleń.

Zostaw w strumieniu pod kamieniem  
w sekretnych pluskach i chlupotach,  
albo pod lipą w czułych szeptach  
a ja przyrzeknę, że odchodząc,  
niczego z sobą nie zabiorę.

## Cień

Idzie za mną Cień, idzie wszędzie.  
Nie popędza mnie, nie szturcha w plecy,  
nie depcze po piętach. Zatrzymuję się,  
on też przystaje. Odwracam się, patrzę  
na niego, on również odwraca głowę.  
Kim jest, nie wiem i wiedzieć nie chcę.

Idzie Cień przede mną - kobieta  
z mgieł, zjawa ulotna. Prowadzi mnie,  
żebym nie błądził. Dokąd, którądy  
- mogę się jedynie domyślać.  
Idę, gdy ona idzie. Zatrzymuję się,  
kiedy zatrzyma. Gdy ruszy, ruszam.

Po prawej i lewej bliźniacy - cienie  
bez kształtu, zmyły nieprzekupne  
z dziobami ptaków. Sępy bez skazy,  
które nie ustąpią o szpon nikomu.  
Pilnują mnie, żeby nie zboczył.

Nad jasną głową świetliste niebo,  
pod nogami kamienista ziemia.  
Wiem, czym są i co jestem im winien.

## Cielesność

Płowe włosy, jasne oczy, czasem piegi  
- nomadzi północy; fanaberie natury  
suchych traw, sinych jezior i wrzosów.

Gołębie serce, cierpliwość łosia,  
precyzja jastrzębia i spryt żbika  
zrodzone pośród śnieżnej zadymki.

Właściciele gwiazd, wichrów i lodu,  
dzierżawcy „tu” i „teraz” którym „potem”  
wymyka się jak tropiony jelen.

Nie ma w nich przesady ani przekory,  
ulotnych zjaw, chimer i urojeń,  
tylko cielesność która zdobi i zbroi.

## Festyn w B.

Fuczy kontrabas, popiskują skrzypce,  
zawodzi akordeon, kołyszą się  
na wietrze pijane żarówki. Ich błysk  
trudno odróżnić od błysku pioruna.

Nagła ulewa. Popłoch na deskach.  
Marynarki na głowach, torebki.  
W sadzawce udającej jezioro  
mokną w deszczu szklane łabędzie.

W kałużach resztki kanapek, kiełbaski,  
schabowe na papierowych tackach,  
puszki, butelki, konfetti, baloniki,  
prezerwatywy, zwitki serpentyn.

Idą całą szerokością drogi.  
Trzymają się pod ręce, tłuką  
obcasami w asfalt: *Hej, hej sokoły...*  
*Przyjedź mamó... Malowane dzieci...*

Zatrzymali się. Stanęli nad rowem.  
Rechoczą, trącają się łokciami,  
dogadują i wśród rzeń i chichotów  
piszą moczem w powietrzu esy-floresy.

Wyszli na drogę: *Ci, co swoje serce  
noszą w plecaku... Gdzie teraz idziemy?*  
*Wcinać pierogi... Makaron z serem...*  
*Żreć odsmażane na smalcu kartofle.*

Z rękami w kieszeniach, w mokrej marynarce

z postawionym kołnierzem, krok w krok  
za nimi kopiąc kamyki, chichocząc w kułak  
i pisząc swoje esy-floresy.



## Krysta

Wyciąga fiolkę z aspiryną.  
Wrzuca trzy pastylki do szklanki  
z wodą, miesza palcem, pije.  
Odsuwa szklankę, patrzy na salę.  
On znowu nie przyszedł.

Wołają ją. Wchodzi na estradę  
po żelaznych stopniach kołysząc  
biodrami, zatrzymuje się, potyka  
i ratuje się przed upadkiem  
skacząc na scenę zgrabnym susem.

Podają jej mikrofon. Podnosi głowę,  
patrzy przed siebie. Nie śpieszy się.  
Czekają. Wie, że jest najlepsza.  
Przychodzi, kiedy zechce. Śpiewa,  
gdy ma ochotę. Pije bez przerwy.

Boli ją głowa. Najważniejsza  
jest ekspresja: mimika twarzy,  
rzucane w półmrok spojrzenia,  
skąpe ruchy rąk którymi podkreśli  
znaczenie śpiewanego wiersza.

Wyciąga przed siebie ręce,  
kołysze się, schodzi z podestu,  
idzie w stronę publiczności,  
odwraca się, unosi głowę i śpiewa  
dla niego chociaż jego nie ma.

## Gesty

Układa pudełeczka jedno na drugim,  
wiąże sznurkiem, owija taśmą i folią  
bąbelkową, z jednej strony zasłania  
romansem dla kobiet, z drugiej żurnalem  
mody, wsuwa pakunek do raportówki,  
do bocznej kieszonki wrzuca dezodorant,  
pomadkę do ust, lusterko i zaciąga zamek.

Ubiera się zgodnie z potrzebą chwili:  
szara bluzeczka z krótkim rękawem,  
spódniczka nieznacznie powyżej kolan,  
pantofle na miękkich podeszwach, włosy  
i paznokcie w dyskretnych kolorach.

Patrzy w lustro. Obrót w prawo, w lewo,  
teraz widok z tyłu. Jeszcze raz i jeszcze.  
W porządku. Zakłada torbę na ramię,  
zapina ją i wychodzi. Przystanek busów  
po przeciwnej stronie. Dwaj mężczyźni  
raczą się piwem prosto z butelek.

Zgrzyt hamulców. Szum otwieranych drzwi.  
Nikt nie wysiadł. Wsiadł wyrostek z komórką  
i słuchawką w uchu, starsza kobieta  
z torbą na zakupy, chichoczące podlotki,  
dziewczynki z tornistrami na plecach.  
Autobus odjeżdża, piwosze zostają.

Chłopcy w dresach i bejsbolówkach  
rozprawiają o ostatnim meczu drużyny  
futbolowej, dziewczyny o przygodach

miłosnych nie szczędząc słuchaczom pikantnych szczegółów. W przejściu przekomarzają się dwie dziewczynki, popychają się, poszturchują, kuksają; jedna z nich zaczyna płakać. Kobieta z torbą na zakupy łaja głośno drugą.

Siada w fotelu, torbę kładzie na kolana, rozgląda się, ściąga ją z kolan i wsuwa stopą pod siedzenie. Patrzy przez okno, potem na pochlipującą dziewczynkę i grzebiącą w portfelu starszą kobietę. Wstaje, schyla się, wyciąga raportówkę i wysiada na następnym przystanku. Stoi na krawędzi chodnika, balansuje na czubkach palców. Autobus rusza i znika wśród dziesiątków innych.

## Recytująca wiersze

Usiadła na ławce choć miała zrobić  
coś innego. Pójść gdzieś. Coś kupić,  
potem to zanieść – gdzie, co i dokąd,  
tego już nie wiedziała tak jak wtedy,  
gdy patrzyła na nich a śpiewała  
dla niego: *taka jestem z tobą szczęśliwa...*

Na scenie pewna swego, na ulicy  
kręciła się wokół czegoś, kogoś,  
siebie samej zataczając koła, kółka,  
kółeczka żeby wrócić tam, skąd wyszła.  
Stała przed witryną patrząc na odbicie  
w szybie lub w domu szukając twarzy  
w lustrze, po czym szła na podwórko,  
siadała na ławce i patrzyła na śliwę.

Kiedy była dzieckiem wspinała się  
na drzewo żeby recytować wiersze.  
Głos wzbijał się w powietrze, dudnił,  
falaował, potężniał a gdy skończyła,  
fruwały wokół niej oklaski i gołębie.

Wyciągnęła lusterko, odwróciła go  
do słońca, złapała jego promień,  
wodziła nim po ścianie, po oknach  
a gdy ujrzała rękę zsuwającą stopy  
na drugim piętrze, puściła na śliwę  
zajęczka pewna, że zaraz zobaczy  
dziewczynkę recytującą wiersze.

## Dom lalek

W sukni balowej, w stroju plażowym,  
owinięta welonem panny młodej,  
w negliżu, półnaga, z przepaską  
na biodrach - wyrzucona z okna  
na poddaszu koziółkuje w powietrzu,  
uderza w ziemię, toczy się po niej  
bez ręki, nogi, pokiereszowana.

Niełatwo rozpoznać ją z twarzy.  
Jej wielkie oczy patrzą nadal ufnie,  
jakby nie zdawały sobie sprawy  
co wydarzyło się przed chwilą.

Dziewczynka w błękitnej sukience  
z kucykiem związanym gumką  
schyla się, podnosi ją z ziemi,  
wyciera w sukienkę, przytula  
do piersi i nucąc kołysankę  
niesie ją pod ścianę budynku,  
układa ostrożnie wśród innych  
kalekich, podobnie ułomnych  
i wraca pod okno po następną.

## Schodami w górę, schodami w dół

Na murze, jeden przy drugim, afisze polityków wielokrotnie naklejane i zdzierane. Deszcz, słońce i gryzmoły dzieci zmieniły je w szarą skórę z naciekami i liszajami pleśni na której widać fragmenty tekstów, nazwiska, wyblakłe portrety, cyfry, dziwolągi o monstualnych głowach wyrastających z tułowia, napisy zagadki, przekleństwa, kalumnie.

W murze furka i wejście na posesję. Skrzypią schody prowadzące na piętro. Drzwi niedomknięte. Wystarczy pchnąć je palcem żeby otworzyły się bezszelestnie i oczom ukazał się zapuszczony pokój: sofa, dwa fotele obite czymś co było kiedyś atłasem w białe i zielone pasy obszyte postrzępioną jedwabną lamówką, dziury w obiciu wypalone papierosem, wydarte z wnętrza kłębki brudnej waty, metalowe spirale sprężyn, rude plamy po wylanej kawie, makatka z jeleniem na ścianie, puste ramy, obrazy świętych, porozrzucane gazety, kurz, pajęczyny.

To tutaj wtedy był. Tutaj byli oni. Świszt sztucznych ogni, huk papierowych toreb, alarm bojowy dla ołowianych żołnierzyków, na podłodze ranna laleczka postrzelona

z plastikowego pistoletu, czekanie  
na pogotowie i tupot dziecięcych nóg  
schodami w dół, schodami w górę.

## Teby

Brama z kamienia, po bokach głowy:  
dwie u góry - ludzkie o porcelanowych  
oczach; dwie w dole - maskary lwów  
z grzywami. Za bramą aleja i bestie  
stojące po jednej i drugiej stronie  
– półnagie ciała, rechoczące gęby,  
kły w oślinionych pyskach, nozdrza  
rozdęte, kuliste oczy wychodzą  
z orbit. Uciekaj chłopcze, uciekaj.

Aleją po omszałych kamieniach,  
błoniami po trawie jak szczecina,  
drogą polną w tumanach kurzu,  
po schodach na których leżą skórki  
z pomarańczy, pestki słonecznika,  
łyżki i talerze którymi bawiły się  
w gotowanie dziewczynki z kamienicy  
do zapomnianego pokoju na piętrze.



## O namiętnościach

Nie umiem. Nie potrafię. Trzeba mieć  
w sobie coś, co uczyni je takimi  
że pofruną jak dmuchawce latem  
albo pewne swego lotne obłoki  
niesione czułym podmuchem wiatru.

Jakiej użyć struny, jak w nią trącać  
żeby śpiewała tak zawile nuty.  
Dotykać jej, delikatnie szarpać,  
uderzać bez litości, znęcać się  
żeby bolało jak powinno boleć.

Jaki wybrać instrument. Skrzypce,  
klarnet, flet, zwyczajny bębenek  
który napelni serce niepokojem,  
sprawi, że stanie się ono bezwolne  
i pójdzie za bębenkiem wszędzie.

Jakie akordy do śpiewania fugi  
o kochankach ukrytych w półmroku.  
Kochałem przecież, kocham i będę  
póki w źrenicy, w myśli, w pamięci,  
w wspomnieniach po ostatni oddech.

Góry, lasy, łąki, kruk i motyl w locie  
swobodnym, zawilce, wrzosa, wąż  
na skałce, oczerety, mgły poranne,  
wieczne i łosie idące samotnie  
jeden za drugim przez mokradła.

Dla rzemieślnika tnącego cierpliwie

skobel przy drzwiach do tajemnicy  
nie ma instrumentu pewniejszego  
od pilnika który trzyma w ręce.

## Prowincje

Leżał w łóżku na wygodnym materacu  
czując błogą sytość po obfitej kolacji  
i rozmyślał o tym, o czym przed chwilą  
czytał: najazdach ludów ałtajskich,

Hunów, Antów, Sklawinów, Gotów,  
Sarmatów od których, jak twierdził,  
wywodził się także jego rodowód.  
O migracji narodu która jest owocem

przyczyny lub splotem przyczyn różnych  
niezależnych od zmuszonych do wędrówki  
- tej prawidłowości losu zbiorowego  
z której wynika również los jednostki,

więc i jego, teraz z książką w łóżku  
wyrzuconego na peryferie historii  
jak ziarnko piasku na brzeg rzeki  
przez powódź i roztrzásającego

upadek starożytnych cywilizacji Persji,  
Rzymu, Bizancjum, szukając analogii  
do współczesnego Paryża, Londynu,  
nie zaprzátając sobie głowy prowincją

która była, jest i będzie na krawędzi  
wielkich wydarzeń świadkiem agonii  
innych, pustoszona przy okazji ogniem  
i mieczem, lecz sama nie ginie.

## **Do Jana Tulika**

Nie trapię się o to, co po mnie zostanie.  
Nie staram się nawet, ani nie zabiegam.  
Stoję solidnie na ziemi czując stopami  
jej twardość nieuległą i idę po niej tak,  
żeby doskwierał mi każdy kamyk,  
ziarnko piasku, źdźbło, samotny kolec.

Zbędny mi diamentowy skalpel,  
nieprzydatne jego szlachetne cięcia  
na skórze świata który mnie spłodził,  
chłopskiej, szurpatej, znaczonej bliznami  
po ranach dawnych i świeżych, skórze,  
która nie będzie nigdy błękitną taflą.

## **Patyk**

Nie dręcz przeszłości. Nie roztrząsaj  
tego, co minęło choć może wrócić  
i wraca nierzadko w przebraniu  
po to, by budzić śpiące demony.

Nie są okrutne. Nic takie nie jest  
samo z siebie dopóki lękamy się  
znając jego oblicze z domniemań,  
zapowiedzi i cudzych opowieści.

Mów: *już było*. Mów: *odeszło, minęło*  
i zaufaj temu, co przyjdzie. Bądź  
jak dziecko które bierze patyk,  
patrzy z zachwytem i pyta: *co to?*

## Pompeje

Gajus Publiusz Ancjusz, obywatel wiecznego Rzymu, farbiarz purpury, wytwórca dobra luksusowego dla wybrańców niebios na miarę ich potrzeb i czasów w których żyli.

Marcus Virgilio Eurisace, piekarz przedsiębiorca, wykonawca zawodu zdawałoby się bardzo przyziemnego, pomysłodawca i właściciel grobowca który zbudowano dla chwały chleba a uważany powszechnie za hołd złożony żonie i własnej próżności.

Lucia Cincinnati, wzięta modystka szyjąca wytworne suknie żonom i córkom patrycjuszy i senatorów.

Gallus Varon, zawodowy gladiator serwujący rozrywkę publiczności Colosseum o podobnych upodobaniach, zmarły śmiercią naturalną i pochowany przy Via Appia przez żonę i syna.

Syrus Liwiusz, wyzwolenciec, Syryjczyk z pochodzenia, kamieniarz, wykonawca nagrobków i epitafiów, także swojego:  
*„Na prawo od obelisku leżą moje kości  
byłem dobrym człowiekiem wspomagałem  
ubogich uszanuj mój grób wędrowcze”*.

Przybyli do Rzymu z różnych stron

rozległego imperium nie pytani  
o boga, język, pochodzenie,  
przyjęci i obdarowani życiem  
w pamięci milionów potomnych  
dopóty, dopóki trwać będą wyryte  
w kamieniu ich imiona i zajęcia.

Mieczysław Filak, marynarz globtroter.  
Ciekawość ludzi i kultur odmiennych  
pędziła go po świecie by na koniec  
sprowadzić do miejsca urodzenia  
i Zofii żyjącej zgodnie z zegarem  
natury - czasem siewów i zbiorów.

Kazimiera Konieczna, córka rzeźnika,  
wyształcenie powszechne oraz wiedza  
praktyczna o życiu niezbędna by trwać  
jak skała na przekór przeciwnościom;  
matka pięciu córek i dwóch synów,  
żona sklepikarza i feldfebla piechoty  
Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa,  
posłuszna porom roku i macierzyństwu.  
I wszyscy inni nie wymienieni  
z imienia lub nazwiska, dzieci Karpat  
- krainy gór, lasów, rwących potoków  
w kamienistych korytach, zagonów  
brukwi, kartofli, koniczyny i żyta  
na obrzeżach cywilizacji, wyliczani  
tylko w wypominkach najbliższych  
którzy po śmierci znikną razem z nimi  
zmieleni w czarnych dziurach pamięci.

## Spektakl

Czarna gruba trzcionka na białym tle.  
U góry, na czerwono, dzień i godzina  
rozpoczęcia, pod spodem tytuł sztuki,  
postacie, imiona i nazwiska aktorów,  
gwarancja niepowtarzalnych atrakcji,  
ceny biletów dla dorosłych i dzieci.

Za płotem z pojedynczych sztchet  
piramidy dwóch namiotów. Na placu  
przed mniejszym spaceruje starzec  
w purpurowym płaszczu do kolan  
i złotym diademie na siwej głowie,  
przerzuca w zeszyt kartki, powtarza  
głośno kwestie swojej roli, podnosi  
palec, przypatruje się mu krytycznie  
i poprawiwszy diadem zsuwający się  
z głowy mówi donośnie: *Być czy nie być,  
oto jest pytanie na dzisiejszy wieczór.*

Z namiotu wybiega dziewczyna w chitonie  
z pudrem i tamponem w ręce: *Popraw  
królu, bym wyglądała na umierającą.*  
Król pudruje jej policzki: *Za kwadrans  
nie będziesz żyła.* Dziewczyna częstuje  
monarchę kuksańcem, prycha: *Za trzy  
zmartwychwstanę* i znika w namiocie.

Wychodzą rzędem hoplici. Dziesiątnik  
staje przed starcem, chyli czoła: *Panie,  
zaczynamy.* Król nie patrzy na niego,



spogląda na niebo i chmury burzowe:  
*Wszyscy jesteście dziełem natury.*  
Dziesiętnik daje ręką znak. Zbrojni  
otaczają króla czworobokiem, tworzą  
wokół niego palisadę z włóczni i tarcz,  
i wyrównawszy krok, z powagą należną  
monarsze, prowadzą do dużego namiotu.

## Zagłada

Delficki wieczór, rzymski poranek  
- zachód Wschodu i wschód Zachodu.  
Przywracanie zdarzeń zapomnianych  
- okruchy i skrawki składane w całość  
i barwione przez natrętą wyobraźnię.

Gwiazda do gwiazdy, chwila do chwili  
- pył słoneczny, spopielony papirus.  
Motyl nad Biblią, Talmudem, Koranem -  
skrzydełka skwierczące w płomyku świecy,  
słowa szeptane w mroczną przeszłość.

Do kogo? Do wszystkich. Żeby dzwoniły  
dzwoneczki sumień z wieczną przestrogą  
- echa odbite echem w niemym powietrzu  
jako przypomnienie dla zagubionych,  
błądzących, zbuntowanych, niepokornych.

## **Prawie**

Przyszli drogami z wszystkich stron.  
Co przynieśli z sobą, niezmierzone.  
Dopiero teraz z twarzy jak z ksiąg  
odczytać można, co było i jest  
ich, chociaż do nich nie należy  
i czym zapełnili przestrzeń  
daną im przez przeznaczenie.

Każdy przyniósł z sobą, co miał  
do przyniesienia i stanął przed Nim  
pewny, że spełnił się i zapełnił.  
Ogarnął wzrokiem zgromadzonych.  
Powiedział: *Już czas*. Przytaknęli  
w milczeniu. Spytał: *Nieśliście godnie?*  
Powiedzieli: *Niósł każdy, jak mógł.*

## Spis tytułów

Chwila .....	5
Rzeka .....	6
Zegar słoneczny .....	7
Nagła ciekawość spraw zaczętych .....	8
Kobieta przy oknie .....	9
Fanny .....	10
Coda .....	11
Nagła ciekawość spraw zakończonych .....	12
Skrzynia .....	13
Hagada .....	14
Ludzie na peronie .....	15
Mink.....	17
Pani na rozstajach .....	19
Pozdraz z Mirosova .....	20
Niedzielne popołudnie .....	22
Stawiski, 1920 .....	23
Cyklop w atelier .....	24
Gitara .....	26
Płócienny kapelusik .....	28
Czesząca włosy .....	30
Pejzaż z toaletką .....	31
Zielony pantofel .....	32
Miasteczko .....	33
Pochwalny .....	34

O pobłażaniu .....	35
O miłosierdziu .....	36
Galicyski .....	37
Smaki .....	38
Dyptyk .....	39
Kreska .....	40
Widok .....	42
Wilia .....	44
Co ja robię .....	46
Esej o domu .....	47
Do Leona Ch. ....	48
Tylko .....	49
Tworylne .....	50
Studnia .....	51
Sad w Łopience .....	52
Za drewnianym mostem .....	53
W Dwerniczku .....	54
Wrześniowe cienie .....	55
Zwyczajny .....	56
O odpowiedzialności .....	57
Spontaniczny .....	58
Kamyk .....	59
O zapamiętywaniu .....	60
Basztowa 13 .....	61
Przysypani szarym śniegiem .....	62

Tańczący na promieniu .....	63
Marja .....	64
Edi .....	65
Jaśmina .....	66
Żurawie .....	67
Łąka .....	68
Nie jestem bohaterem .....	69
Ekspozycja .....	70
Pustynia .....	71
Przecież .....	72
Odys kuszony .....	73
Odys zwiedziony .....	75
Tańcząca na piasku .....	76
Lustro .....	77
Jak .....	78
Do przyjaciela .....	79
Noc nad stawem .....	80
Las .....	81
Np. ....	82
Zabawy użyteczne .....	83
Widok z tarasu .....	84
Pinia .....	85
Drzewo, kwiat, zwierzę .....	86
Kantyczka na obój lub flet .....	87
Cień .....	88

Cielesność .....	89
Festyn w B. ....	90
Krysta .....	92
Gesty .....	93
Recytująca wiersze .....	95
Dom lalek .....	96
Schodami w górę, schodami w dół .....	97
Teby .....	99
O namiętnościach .....	100
Prowincje .....	102
Do Jana Tulika .....	103
Patyk .....	104
Pompeje .....	105
Spektakl .....	107
Zagłada .....	109
Prawie .....	110